

SPRAWY MŁODYCH

NIE TYLKO

Nr 1

Poznań, 27 października 1982

PROSZE O GŁOS

Moda na „sznyty”

Ręka niosąca ostrze żyłki ku obnażonemu przedramieniu. Gwałtowny zamach i struga krwi spływająca ku ziemi. Gest. Co kryje się za parawanem, sprowadzonego niemal do rangi obrzędu, wydarzenia? Młodzieńczy bunt, niepokój okresu dojrzewania czy najbardziej prozaiczna forma zamponowania środowisku, ordynarne pazerstwo i moda? Tylko jeden z kilkunastu wyrostków oświadczył pompatycznie, że „pochłastał się”, by nie podczekać sobie gardła. Nul nierozumnie wzruszali ramionami. Nie potrafili wyrażać sensu makabrycznych poczynań.

Poznańska ulica w jesennym słońcu. Wysoce podwinięta ręka wykosz. Charakterystyczne, podobne bliźny po ciętych ranach, obnażone z dużą jak wywaranie rączne w twarz calmas światła. Symbol czego? Bratniacy, szlachy, ale i tragizm.

Panoszą się głównie wśród dematającej młodzieży, zarówno w małych osiedlach, jak i wielostopniowych miastach. Wchodzi w modę, uzupelnia głównie młodzieży styl życia. Ogarnia margines i przyległość.

Uponorowany dekadentyzm, awantura dorosłości w alkoholu, niepokojąca liczba samookaleczeń — zbyt często, stają się przyczynami trwałego okaleczenia psychicznego. Wpadku na początku życiowej drogi. A wszystko to oczek społeczność, choć widać już poza jego nawianom. Jaskrawe, krzącające nieomal.

Zagadnienia tekt zwanej trudnej młodzieży są skomplikowane i drażliwe. Lecz właśnie dlatego nie należy ich przelimitować. Nawet najbardziej drastyczne muszą ująć światło dzienne, by ulec lokatyzacji i likwidacji. Leży to w interesie społecznym, interesie „chłastających się” i nas wszystkich.

MIECISŁAW OTCOWSKI

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Młodzieżowych przy ZW ZSMP w Poznaniu.

Dzisiaj kartka — ZIELONA

Diabeł nie mówi dobranoc

Widownia co rusz wybuchała śmiechem. W momencie ogłoszenia tego konkursu również. Dwóch panów miało układać na podłodze je dno za drugim — byle najdalej to, w co byli ubrani i co mieli w kieszeniach. Emocje rosły z każdą chwilą. Szybko ubywało rzeczy do wyłożenia; marynarki, koszule, chusteczki do nosa, grzebienie, portfele. W końcu spodnie, buty, skarpety. Jeden z rywali zdawał się być zwycięzca — miał o kawałek dłuższy „sznur”, a przeciwnik pozostał w samych tylko kałesonach; zaczął więc przyjmować gratulacje od przyjaciół. Ale przegrał. Czyżby konkurent pozostał na środku sań tak jak go Pan Bóg stworzył? Nic z tego. Po prostu wysuwał z majtasów gumę i zdystansował rywala.

Te historyjki usłyszałem od jednego z mieszkańców Dominowa, gdy rozmawiałem wśród nich o przejawy pomysłowości miejscowej młodzieży. Raz po raz bowiem słyszałem o niej na forum przynajmniej wojewódzkim, a niekiedy i krajowym. Że za co się tam młodzi weszła, robią przykładowo, a w ogóle to mają się każdej pracy społecznej. Że nie czekają na wskazówki i dyktando, że potrafią przeformować realizację czegoś, co początkowo przypomina zamierzanie się motyka na słonce. Wszystko to wiecie ślebia ciał młodym dominowanom, czy zatem na taką opinię zasługują? Czy pomysłowość objawiona w opisanym na wstępie konkursie jest czymś powszednim w działaniu młolotów z tej gminy Poznańskiej.

Przebieg tej stolica to młodszość — jak się to zwykło powiadać — zabita deskami. Niespełna 400 mieszkańców, z

dala od głównych szlaków komunikacyjnych, z jedną właściwie ulicą. Gdyby o Dominowie wyczytać w jakimś przewodniku można by pomyśleć: tam, to diabeł musi mówić dobranoc.

Tymczasem na skraju wsi na poboczu drogi duża tablica „Gminny Ośrodek Sportu i Rekreacji”. Jeszcze nie zdążyła poblaknąć, bo dopiero od kilku miesięcy wskazuje ów obiekt. Przedtem długo była w tym miejscu odkrywką

Dziennikarskim obowiązkiem jest być blisko i obserwować; przywołać i powinność — ocenić. Będziemy przyznawać nasze zielone, żółte i czerwone kartki tym, którzy naszym zdaniem na nie zasługują. Dzisiaj — kartka zielona. Na dobry początek.

żwiem. Doły powstały głębokie ze rodzicom ciepła skóra, gdy dzieci bawiły się w pobliżu. Wreszcie zdecydowano, że wszystko trzeba zasypać śmieciami i wyrównać, lecz początkowo były to tylko dobre zamiary, które w znikomym stopniu urzeczywistniano podczas kolejnych czynów partyjnych.

Na serio wzięto się za robotę w 1979 roku. Grupę młodych skrzyknął wokół siebie Zdzisław Piasecki. Był od dwóch lat dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury i zdołał wreszcie przekonać największych nawet niedowiarców, że to do czego zachęcał czynią dla samych siebie. Żeby było gdzie spędzać wolny czas po pracy i nauce.

Ten używał kosza z wozem, tamten ciastek, jeszcze ktoś inny różne maszyny ze swojej zagrody. Wykonywano kolejne

prace. Wciąż się do nich, kto mógł i kiedy mógł. Zwieziono sporo zużła na biegnie boiska, profilowano jego płyte, układano krawężniki. Za nic nie brano pieniędzy. Nawet fachowe roboty związane z doprowadzeniem do szatni prau i jego podłączeniem wykonywano we własnym zakresie, bo pośród młodych byli i elektrycy. Jeszcze posadzenie drzewek, pomalowanie bramek i stadion był gotowy. Ale to nie wystarczyło.

Chłopcy uznali, że w piłkę nie każdy gra, za to każdy chętnie chyba pobiega i poćwicz na świeżym powietrzu. Ani się domniawanie obejrze, a już mieli ścieżkę zdrowia Pomysłowo ulokowana pośród drzew z samodzielnie wykonanymi przez młodzież przyrzadami. Ktoś wpał też na pomysł, by sąsiednie zagłębienie naturalne terenu wykorzystać na strzelnicę. Co nieco potu przy jej tworzeniu wylano, karczując krzewy i wycinając zawiadające drzewa, ale ...strzał był celny.

Pod koniec maja co poniektórzy mieszkańcy wsi przecierali oczy ze zdumienia, dowiadując się z afiszów o przekazanym do użytku ośrodku sportu i rekreacji. A już oglądając go podczas otwarcia, do reszty pozbyli się wątpliwości, czy w tak trudnych czasach apatii i zniechęcenia można wcale niemałe przedsięwzięcie realizować wspólnym wysiłkiem, zupełnie bezinteresownie. To był kawał dobrej roboty.

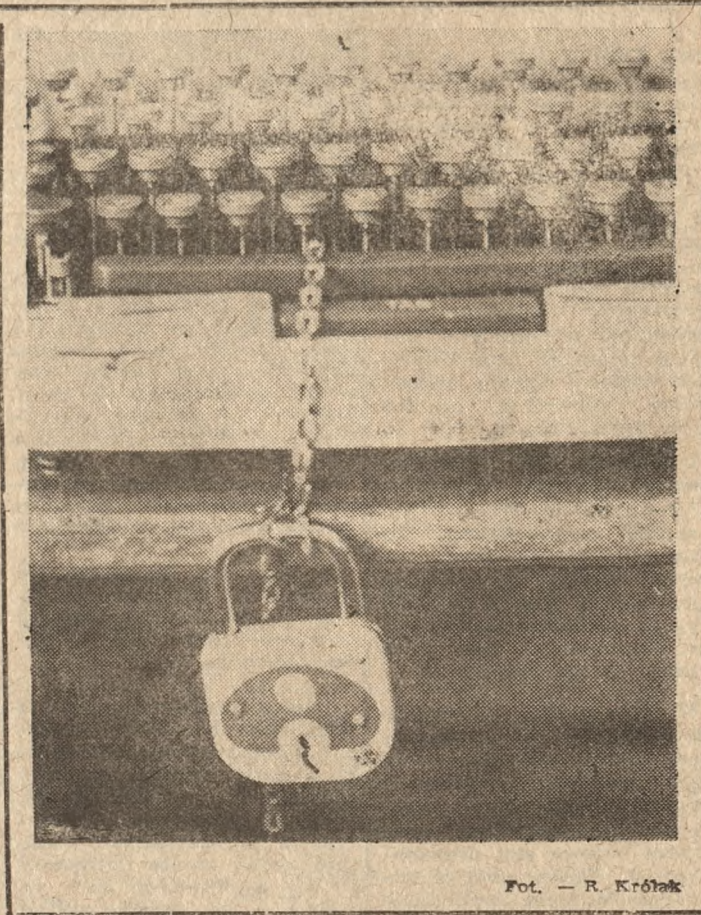
W nagrodę dla jej wykonawców założono miejscową drużynę piłkarską do rozrywek klasy C. Taka była z chłopakami umowa Zarządu Gmin-

Dokończenie na str. 2

PIOTR BOROWICZ

„Nie wolno niczego nie robić tylko dlatego, że nie można zrobić wszystkiego”.

Mikołaj Turgeniew



Fot. — R. Królak

Trzy, dwa, jeden zero... start!

Dość długo trwało „odliczanie”, zanim wystartowaliśmy z dodatkiem, który macie przed sobą. No bo tak już jest, że najłatwiej nic nie próbować. A jak już zrodziła się w naszym zespole dziennikarskim myśl, żeby zrobić coś dla młodych, to nie zabrakło i krytycznych na ten temat opinii: — Akurat „Głos”, najstarszy dziennik Wielkopolski, miałby przemawiać do młodzieży? — Ktoś też wtrącił zgryźliwie, że naszą gazetę wetu nabywa tylko dla nekrologów i drobnych ogłoszeń. Inny ponuro ocenił możliwości dotarcia do młodego pokolenia, stwierdzając: — Oni nic nie czytają, wiadomo, apatia, zniechęcenie, dewaluacja słów i trudne położenie młodych rodzin... A jeden z redakcyjnych seniorów oświadczył: — Kto widział dzielił społeczeństwo na młodych i starych?

Potem, gdy już sprawa się nieco „uleżała”, powstały wątpliwości praktyczne: kto z zespołu „Głosu” będzie dodatek redagował, bo jak młody — to niedoświadczony, a jak doświadczony — to dawno przestał być młody... Poza tym skąd wziąć papier. No i jak ma się do tego reforma, przecież to będzie kosztowała. I co też powieją na ten pomysł koleżki-drukarze, że trzeba będzie czasem składać, jak się to fachowo mówi, więcej stron?

Ale paru ludzi się uparło i wytoczyli swoje „armaty”: że w Poznaniu od niepamiętnych czasów młodzi nie mają własnego piśma. Owszem, mogą pisać do dzienników; do tygodników wydawanych w każdym z województw Wielkopolski. Niekiedy pojawia się studencka jednodniówka „Spojrzenia”, to również fakt. Ale rzeczywistość pozostaje taka, iż młodych w naszym regionie jest co niemara: do 29 lat mamy około półtora miliona Wielkopolan. W Poznaniu studuje 40 000 osób, zaś liczba młodzieży szkół średnich tylko w Poznaniu sięga prawie 70 000. A ilu młodych pracuje w fabrykach, na gospodarstwach rolnych, w przedsiębiorstwach i instytucjach!

W końcu wystartowaliśmy. Będziemy się od tej pory spotykać na łamach „Głosu” co dwa tygodnie. Chcemy redagować dodatek nie o młodych, lecz dla młodych, a przede wszystkim razem z Wami, Młodzi Czytelnicy. Piszcie do nas — postulujcie, krytykujcie, dzielcie się spostrzeżeniami, refleksjami. Nie jest ważne, czy pozostajecie poza organizacjami zrzeszającymi młodzież, czy też należycie do którejś z nich. Czekamy zorażem na odpowiedź ze strony starszych: rodziców, opiekunów, wychowawców, pedagogów, bowiem — jak zapewne zauważyliście, dodatek zastrzegł w tytule podejmowanie spraw nie tylko interesujących młodzież. Spodziewamy się również odzewu ze strony młodych twórców.

Piszcie — „kupimy” prawie każdy temat! Nie zamierzamy unikać spraw uważanych za trudne, czy drażliwe, jeśli nurtują one czytelników. Naszym dążeniem będzie stworzenie płaszczyzny wymiany myśli i refleksji dotyczących przeszłości i przyszłości, lecz nade wszystko — teraźniejszości. Chcemy trzymać się mocno realiów życia, codziennych trosk i dokonań.

Zależy nam na kontaktach ze środowiskami młodzieży w całej Wielkopolsce, co nie znaczy, iż nie będziemy poruszali problemów ogólnokrajowych, czy też ważnych — a dotyczących młodzieży — doniesień ze świata. Naszą ambicją jest unikanie frazesów w ogóle a w szczególności typu „wszystko zależy od młodych”, albo „za czasów mojej młodości”...

Nie upieramy się przy tytule dodatku. „SPRAWY nie tylko MŁODYCH” zostały się po długim skłanianiu sobie do oczu; „kontrkandydaturą” była nazwa „GŁOS MŁODYCH”. Dajcie znać jakie jest wasze zdanie w tej sprawie.

Co będzie nam przyświecało w pracy? Głębokie przekonanie o konieczności porozumienia między Polakami, bo żyjemy tu i teraz i jedną mamą Ojczyznę. I wiara w to, że życie należy do ludzi aktywnych.

Czytelników prosimy by waga: kierowali na adres: „Głos Wielkopolski” — skrytka nr 1074 60-830 Poznań lub bezpośrednio 60-059 Poznań, ul. Grunwaldzka 19 z dopiskiem na kopercie „Sprawy nie tylko Młodych”; możecie też telefonować — numery: 648-45 lub 600-41 wewn. 228.

Są sprawy, o których trudno ludziom mówić spokojnie. Tam, gdzie w grę wchodzi konflikt, poczucie krzywdy i nieprawdomocności — tam albo się krzyże albo się szepce. „Nie miało być odwetów, a sa” — mówią jedni. „Niczego i nikomu nie pan nie udowodni” — mówią inni. „Nie znajdzie pan żadnej odpowiedzi na najprostsze nawet pytanie. Cała ta pańska wędrówka mnoży tylko będzie wątpliwości. Odwety, mściwość, usuwanie niewygodnych byty, sa i beda. Stan wojenny ani ich przesadnie nie wzmógł, ani tym bardziej nie usmierzył”. Ci, z którymi przyszło mi rozmawiać wzdychają najczęściej i zapadają w zadumę. „To trudne i cienkie sprawy, ale jak pan chce, niech pan próbuje”.

☆

Wszystko wydaje się zwyczajne i proste, gdy spojrzeć na to z jednej tylko strony. Spośród dziesiątków odwołań kierowanych do terenowych komisji odwoławczych do spraw pracy, orzeczonych, a później zaskarżonych w Okręgowym Sądzie Pracy i Ubóstwa w Poznaniu — wybrałem kilka. Z góry mówię, że bardzo tendencyjnie, a tendencja ta musi być od początku jasna. Wybrałem te, które pomagają mi bezspornie udowodnić, że jakakolwiek jednostronna ich ocena jest niemal karygo-

na. Dla ludzi, którym wymówiono pracę sa to decyzje bez mała tragiczne. U jednych rodzą rozgorzczenie, u innych złość i pragnienie rewanzu, a jeszcze innych apatie, z której dla wielu bywają jedynie sensacja; kolejna okazja do bezkarnego rajcowania i jątżenia.

A. W. pracownik jednego z zakładów karnych zwrócił się do TKO z odwołaniem od de-

TKO ustalone, że owe „warunki osobiste” to to, że A. W. przed 18 grudnia ubiegłego roku czynił starania o utworzenie „Solidarności” w zakładzie karnym, co dykcja ZK uznała za niedopuszczalne. Stanowisko takie TKO określiła jako zgola błędne — uzasadniając, że przed 13 grudnia 1981 roku „Solidarność” była związkiem legalnym, kierującym się określonym statutem. Każdy pracownik, w

tym również A. W. był uprawniony podejmować takie działania, o ile były zgodne ze statutem. Zadnych zakazów resort sprawiedliwości nie wydawał. Gdyby A. W. czynił takie starania po 13 grudnia byłoby to działanie przestępce. Nie robił tego jednak i TKO nakazała zwrócić go do pracy.

Decyzję tę zaskarżono do sądu pracy. Sąd uznał, że rozszczenia pracownika zakładu zmilitaryzowanego do przywrócenia go do służby sa bezpodstawne, a komisja odwoławcza ani sąd nie mogą badać przyczyn zwolnienia pracownika, lecz tylko to czy zwolnienie nastąpiło zgodnie z prawem.

NIEPROSTE PYTANIA

Krzyki i szepty

cyzji dyrektora zakładu. Zwolnienie go z pracy 18 grudnia ubiegłego roku uważa za bezpodstawne i niehumanitarne, stanowiące przykład nad używania władzy, jaką dały, wydające te decyzje osobie, przepisy o stanie wojennym. „Jestem — pisze A. W. — jedynym żywicielem rodziny i mam na utrzymaniu czworo dzieci”.

Dyrektor zakładu karnego utrzymuje w obszernym uzasadnieniu, że A. W. nie może dalej pracować w jednostce zmilitaryzowanej resortu sprawiedliwości, że sprawa uwa-ża za zakończona, więc nawet nie przysłał akt osobowych. Jako powód podano m. m. — „warunki osobiste”. Przed

Rzecz tyczyła zakładu zmilitaryzowanego, więc sięgnijmy po przykład ilustrujący całą złożoność sytuacji w innych warunkach niż te, które określa prawo związane z funkcjonowaniem jednostek zmilitaryzowanych w stanie wojennym.

E. P. w odwołaniu do komisji twierdzi, że dzieje mu się krzywda, gdyż za dyrekcją i aktywem ukrywa się jedynie dyrektor zakładu, z którym ma na pieńku. E. P. informuje, iż jest człowiekiem walczącym, który potrafi śmiało mówić o nieprawidłowościach w zakładzie i domagać się ukarania winnych. Załoga zaś tylko w bliźszych kregach potrafi mówić śmiało, ale tak by się nie narazić dyrektorowi, bo zaraz skorzystałby on z pierwszej lepszej sposobności i zwolnił niewygodnego pracownika.

Dyrektor zakładu, który zwolnił E. P. mówi o innych faktach, bezpośrednio związanych ze sprawą E. P. jako szef związkowców ale pracownik zakładu zorganizował wycieczkę. Po tej wycieczce przedstawił rachunki za posiłki, które w relacji uczestników wycieczki nie zostały spożyte. Przedstawił też rachunek za taksówkę, która wiozł rękomo chorego na serce uczestnika wycieczki, bo stan jego zdrowia gwałtownie się pogor-

Dokończenie na str. 3

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

Diabeł nie mówi dobranoc

Dokończenie ze str. 1

nego ZSMP i Rady Gminnej LZS: przygotujecie odpowiednie boisko, będziecie grać w mistrzostwach. I grają. Ale przedtem jeszcze sami zapracowali na stroje piłkarskie.

— Byłam dla chłopaków pełna podziwu — mówi sprządawczyni ze sklepu spożywczego. — Chodzili po wsi i nie wstydziłam się zbierać złomu, makulatury. Umorusani, ale zadowoleni, że będą mieli pieniądze na sprzęt. A na koszulkach napisy i numery wyhaftowały dziewczęta podczas kursu kroju i szycia.

Dotychczas LZS Dominowo notował 32 mecze. Przeważnie zwyciężając, lecz nie to jest przecież najważniejsze. Po prostu młodzi znakomicie się bawia sportem. Prywatnymi samochodami jeżdżą na rozrywki bez zwrotu kosztów i diet. Wystarczy, że robią to, co sprawia im przyjemność.

W ogóle można w Dominowie szybko się zorientować, że spore działają dla ubarwienia szarej przeciętnej odczynnici podjęmianych jest z ochotą. Osi, teraz na przykład przed domem kultury stoi drewniana scena. Zaferowało ją poznańskie Muzeum Archeologiczne, bo była bezużyteczna w pobliskim rezerwiecie Grodziszko. Chodziło tylko o przewożenie podium. Młodzież zakasała rekawy i wkrótce już można będzie scenę wkomponować w zaplanowany obok domu kultury plac zabaw dla dzieci. Zarazem powstanie możliwość urządzania koncertów na estradzie pod gołym niebem. Ośrodek kultury też tetni życiem tak jak e-niergia promieniuje jesto młody dyrektor. Nie ma tygodnia bez jakiejś imprezy, nie ma szablonowych propozycji.

Czy to znaczy, że w Dominowie zadawala sie gusta każdego i we wszystkim co szeroko rozumianej kultury dotyczy? Oczywiście, że nie. Ale na pewno diabeł nie mówi tam dobranoc.

PIOTR BOROWICZ

Budujemy sobie dom

Można zacząć referatowo: „Na obecnym etapie rozwoju społeczeństwa socjalistycznego występują u nas poważne trudności w zaspokajaniu podstawowych potrzeb, mimo że czynnymi staraniami w kierunku widocznej poprawy, zwłaszcza jeśli chodzi o zaopatrzenie rynku wewnętrznego i budownictwo mieszkaniowe...”

Można też rozpocząć z pesją publicystyczną „Tysiące rodzin żyje w warunkach urągających człowiekowi. W malutkich, nieregularnie zawilgotnionych klatkach, gnieźdzą się młode małżeństwa z dziećmi. Inne natomiast rodziny więcej niż połowę zarobków przeznaczają na opłatę za wynajmowane pokoje. Ile rodzin rozpadło się z braku własnego mieszkania? I z braku perspektyw otrzymania go w dającym się przewidzieć czasie?...”

A wszystko sprowadza się do jednego. Do braku mieszkań. Najdotkliwiej odczuwają to młode rodziny. Ale nie tylko. Zatem do rzeczy.

Latem ubiegłego roku 12 studentów poznańskiej Akademii Ekonomicznej postanowiło założyć własną, małą spółdzielnię mieszkaniową. Wiedzieli wszak bardzo dobrze, że w normalnym systemie mają szansę otrzymać klucze do własnego „M” za miesiąc — jak dobrze pójdzie — lat. Wiedzieli również, że pokonać będą musieli trudności i kłopoty, przed którymi zalamaliby się przynajmniej co drugi człowiek.

Zaryzykowali. Czy z oczekiwaniem skutkiem, to się jeszcze okaże. W każdym razie wykorzystali możliwości, jakie daje uchwała nr 22 Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego z 6 kwietnia 1981 roku. Musieli jednak przed formalną rejestracją swojej spółdzielni znaleźć działkę, gdzie mogliby postawić swój dom, zapewnić sobie wykonawcę i materiały budowlane. Takie są bowiem wymogi formalne.

Darujmy sobie szczegółowe opisy starań, bieganiny, przełamywania biurokratycznych praktyk i zwyczajnej ludzkiej zawiści. Grupa inicjatywna podzieliła się na kilka mniejszych, które wybrały się na

„wycieczki” po Poznaniu by znaleźć miejsce, gdzie można byłoby postawić budynek mieszkalny. Lista takich działek była długa, lecz po konsultacjach z Biurem Planowania Przemysłowego została jedyna. Narożnik ulicy Swierzewskiego i Hożej.

Prezes Akademickiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Traf” — Witold Kotwicki pokazał mi projekt bloku mieszkalnego, który tam wkrótce stanie. W czterech piętach pomieści się 30 mieszkań typu głównie M-2 i M-3 a także kilka M-4. Tuż obok zaplanowano również urządzenie placu zabaw dla dzieci.

Oddajmy jednak głos prezesowi tej nietypowej spółdzielni. W Kotwickiemu.

— Po załatwieniu wszelkich formalności, grupa inicjatywna dokooptowała pozostałych członków spółdzielni. Tytuł będzie mieszkań w bloku. Kandydatów było oczywiście dużo więcej, ale wybierając, a nie innych, braliśmy pod uwagę swoje kryteria. Jest to wszak przedsięwzięcie nietypowe, nikt z nas nie ma żadnych doświadczeń w tej mierze, przeto dobieieraliśmy sobie ludzi przedsiębiorczych, zaradnych, o zgodnym charakterze, niekonfliktowych. I wyłącznie stałych mieszkańców Poznania.

Braźni to może brutalnie, ale dla słabych nie ma miejsca w spółdzielni „Traf”. To przedsięwzięcie musi się bowiem udać. A kłopotów oraz trudności i tak jest i będzie jeszcze sporo, po co więc mnożyć je przez postawy ludzi? Tutaj wszyscy muszą mieć do siebie pełne zaufanie.

Studenti wzięli się do pracy. W zakładzie remontowobudowlanym Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych w Poznaniu wykonali sami 10 000 tak zwanych bloczków typu M-4. Są to betonowe elementy budowlane wielkości mniej więcej cegiełki. Potrzeba będzie jeszcze raz tyle. Albo się zakupi, albo również wykona we własnym zakresie.

Jest już więc działka w ziemi. W tym jeszcze roku planuje się ukończyć tak zwany stan zerowy, czyli wykonać fundamenty, po prostu to wszystko, co z przyszłego budynku znajdować się będzie

w ziemi. Od przyszłego zaś roku ruszy już budowa w pełnym tego słowa znaczeniu. Budynek zacznie się piąć w górę.

Prezes Witold Kotwicki jest optymistą. Uważa, że gdzieś pod koniec 1984 roku wprowadza się do nowego budynku jego lokatorzy, aczkolwiek zastrzega, że wszystko zależy będzie od sprzyjających okoliczności, a zwłaszcza od zdobycia niezbędnych materiałów.

Gentelmeni nie mówią o pieniądzach, ale i tej sprawy pominąć nie można. Inwestycja na narożniku Swierzewskiego i Hożej ma kosztować około 40 milionów złotych, w cenach z roku bieżącego. Nikt jednak nie da gwarancji, że w roku przyszłym materiały budowlane nie zdrożeją, a więc ogólna suma może uciec zwiększonym. Zdaniem prezesa W. Kotwickiego, około 10, a może nawet 15 milionów złotych kosztować będzie robocizna, którą włożyli już i włożą jeszcze przyszli lokatorzy. Wykonują i wykonywać będą wszelkie prace niefachowe. Specjalistyczne — co jest zrozumiałe — pozostawiają głównemu wykonawcy inwestycji. W związku z tym, że „Traf” jest spółdzielnią typu lokatorsko-własnościowego i biorąc pod uwagę wszelkie przywileje finansowe, jakie przewiduje wspomniana uchwała CZSMB, każdy z członków musi dysponować wkładem w wysokości około 50 000 złotych. Jak na studentów, to sporo.

Czy „Traf” będzie efektywna, spółdzielnia jednego ledwie budynek mieszkaniowy?

Inicjatywie studentów poznańskiej Akademii Ekonomicznej przyglądać się będzie mi uważnie, z żywym zainteresowaniem. Podobna spółdzielnia, ale stawiająca domki jednorodzinne, działa w Zielonej Górze, druga a nazwie „Hermes” również w Poznaniu, chociaż składająca się z młodych pracowników nauki, także Akademii Ekonomicznej. W każdym razie młodzież wzięła się za rozwiązywanie własnych problemów mieszkaniowych. I to cieszy, mimo iż w stosunku do potrzeb, to ledwie kropla w morzu.

LESZEK ADAMCZEWSKI

„Mechaniczna pomarańcza”

Z wyjątkiem tak bywa, że gdy nie ma o czym mówić rozpoczyna ją się dyskusja. Jeśli nie o pogodzie, to o kulturze. Tym razem podczas ogólnopolskiej inauguracji roku kulturalnego ZSMP było inaczej. Ponad setka młodych organizatorów wolnego czasu pod egidą ZSMP zjechała do Poznania, by dyskutować właśnie o kulturze, o naszym innym, tylko o niej. Okazało się, że właściwie to nasza młodzież chce robić tę kulturę, dba o rozwój duchowy swych rówieśników, wie już do brze co, ale nie zawsze wie jak.

Najważniejszy był plan. Zaprogramowano sobie do dyskusji kilka tez, lecz akurat dziwnym trafem się okazało, że zabrali na te tematy niewiele mają do powiedzenia. Nie po raz pierwszy stało się tak, że Polakowi każąc, to jakby zamierzyć odwrotny skutek. Może więc trzeba było wyłączyć te tematy spoza dyskusji, a dialog pociągnąć się warty? Ale nie to, pogadaliśmy na inne tematy i w końcu wyszło, że te inne są właśnie tymi, o które chodziło.

Programowanie swoją drogą, realizacja swoją. Trzeba więc — mówiono — realizować w planowaniu i lepszym rozważaniu. Młodzi organizatorzy wolnego czasu najchętniej odciągnęliby od pługa oraz od tokarni rolnika i robotnika, ubrali w garnitur, zawązali pod szyję „muche” i zaciągnęli do filharmonii. Bo tak mieli w planie, bo to jest właśnie ta „duża kultura”. I jeszcze skrzętnie polczyliby tymi kulturowymi i zawiadło do biblioteki duchowej, wytwornie przy tym odpoczywając. A że ten robotnik, ten rolnik przeżył miedzi pańskie, cierpiąc w niewygodnym fotelu z nogami w uwierających kółkach i kolnierzem kawał obcieraającym szyję, albo też się zdziwnął — to mniejsza. Najważniejsze, że byli, zrobili frekwencję na imprezę, którą MY zorganizowaliśmy. Dla nich.

Czy ten robotnik, rolnik chce iść do filharmonii, chce wysłuchać poezji Norwida, przy migodliwym blasku świecy, czy chce nasłuchać i zatańczyć w wesołym towarzystwie folklorystycznym? A może jest teraz na etapie fascynacji muzyką „Republik” i „Perfector” i lubi pobawiać się w „dyskotekach”? Tego nam nie wolno! Tego nie powiniemy! Jedną ludź pomarańczą, inną jałową. Zamazać krogocin — to też jakby banalną w chuchrobach, w której wszyscy uczestnicy zabawy mają zamazane oczy. Organizatorzy będą adekwatnie „członną” uczestników, a uczestnicy zawiadzą kierownictwem organizatorów. Zadowolonych nie będzie. Jeśli mamy krogocin w garstce, to nie wspomniemy o skarpatach i od nich zaczniemy. Metodycznie, a nie od razu walić kulturę jak obuchem w łeb. Trzeba ludzi czynić kulturalnymi — a może właśnie koncertami „Perfector” i „Republik”!

Jeśli ktoś spodoba się koncertowi i dyskotekę zorganizowane przez ZSMP przyjdzie może i na te „migocące świeczki”, bo jeśli to „oni” wolą, to chyba będzie dobrze. I nie się spodziewa, jak będzie miał na sobie biały koszulek, na rękach dwa węższe szarymanki i na karku podwójne szare szelki. Sama podwójna, i własnej woli.

Mówiono również na inauguracji roku kulturalnego ZSMP o trudnościach finansowych. O tym mówi się teraz wszędzie i przy każdej okazji. To też jest naszemu obywatelowi. Nigdy nie ma tak dobrze, by nie mogło być lepiej, więc i teraz damo, spójniż. Ale o dawać nie na wzięcie, gdyż okazuje się, że to i odwrotnie. Jeśli to by nawet i się stało, lecz nie ma kto wziąć się do układowania pieniędzy, bo to są rzeczy niewygodne i wszędzie trzeba prosić, nagabywać, występować z prośbą o zabranie. Najgorzej jest tym, którzy działają w zakładach pracy. Dyrektor jest odpowiedzialny, gdy on „zrobi się” przy okazji niepełnej jebilenności. I stać wódec. Włec „zrobi się”. Pasywa. I masowa spółka!

Zawsze raca artystyczny w zakładach pracy, widać niechęć, matorackie zespoły prześladują na zawodach i jeszcze trochę, a kłują sobie pleców za występy na zakładowych szkieletach.

Widać, czy to same problemy się pojawiają się na rok przy okazji następnego inauguracji roku kulturalnego? Czy do tego czasu ktoś ubiera się dorobione w garstce, czy ktoś pobił pomarańczą? Jeśli tak — to chwala młodym organizatorom kulturalnym z ZSMP. Ale chwala im najchętniej za rok, gdy pokazują powściągnięty dół marasmu i niechęć młodego pokolenia do aktywnego uczestnictwa w różnorodnych formach życia kulturalnego.

Oby tylko ktoś tam na rok nie wywalał łez, to kierownik zakładowego domu kultury „podziękował za współzawodniczenie” i zadowolony zadowolony, bo daje sobie doskonale radę bez niej.

LESZEK GRACZ

Przebywający niedawno w Poznaniu przewodniczący Zarządu Głównego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej — Jerzy Jaskiernia spotkał się z kilkudziesięcioma młodymi robotnikami, rolnikami, uczniami, studentami i żołnierzami z Poznania. Blisko dwugodzinnej rozmowy o najważniejszych dla ZSMP sprawach przysłuchiwali się dziennikarze „Głos Wielkopolski” — Leszek Gracz i Andrzej Skrzypczak. Przygotowali oni nieautoryzowany zapis tej rozmowy. Odbędzie się ona najpóźniej po uchwaleniu przez Sejm ustawy o związkach zawodowych. Nic więc dziwnego, że problemy związkowe zapoczątkowały senę pytań, skierowanych do przewodniczącego ZSMP.

— Jak powinien wyglądać skład ZSMP — związki zawodowe?

— Można na ten problem spojrzeć wielorako. Na przykład: czy ZSMP był afiliowany przy którejś z central związkowych? Czy tworzyłbyśmy wymóg przynależności do któregoś z związków? Czy mogliśmy swobodnie tę przynależność wybierać? Nasza organizacja nigdy nie mówiła, że ktoś musi należeć do takiego związku, a do innego — nie powinien. Na III naszym Zjeździe podkreślaliśmy, że nie może być w tym względzie ani dyskryminacji, ani preferencji.

— Czy po 13 grudnia ZSMP zajęło jednoznaczne stanowisko w kwestii przyszłego modelu ruchu związkowego w Polsce?

— Prezydium ZG uznało, że nie ma takiej potrzeby. Każdy dojrzały człowiek ma prawo wyboru organizacji młodzieżowej, politycznej, społecznej czy zawodowej. Zawzięto byliśmy w tej kwestii otwarcie. Przynależność jest sprawą autonomicznego wyboru. Nie chcemy, by nam coś narzucano, więc sami niczego nie narzucamy. Nie znaczy to, że nie było takich prób. Ale w skali związku nie zajmowaliśmy w tej kwestii stanowiska. I tak by to niewiele dało.

— A co obecnie?
— Sytuacja jest zerowa.

Nie ma obecnie żadnych związków. Są tacy, którzy domagają się od nas jasnego stanowiska w momencie odrodzenia się ruchu związkowego. Inni mówią, że ważniejsze jest to — jak zrobić, by w nowo powstałych związkach nie uszczuplić interesów młodzieży. Jest nutka melancholii za poprzednimi strukturami. Uwidoczniło się to również w Sejmie. Ale generalnie wiadomo — związki kształtują aktywność ludzi. Nie nie stoi na przeszkodzie, byśmy w nich byli. By było nas tyle, ilu chce. Jeżeli będziemy za długo się przyglądali, możemy stracić wiele z możliwości działania i oddziaływania. Gdyby ZSMP zabrakło w momencie tworzenia nowych struktur związkowych — byłoby to błąd.

— Jaka jest pozycja ZSMP w stosunkach rząd i partia?

— Jesteśmy samodzielnymi nie tylko w statucie. Jesteśmy samodzielnymi w półtora roku po naszym Zjeździe, w blisko rok trwania stanu wojennego. Związkiem kierują wyłącznie ciała statutowe. Wszyscy działacze władz związku pochodzą z wyboru i ani razu nie skorzystaliśmy z prawa stanu wojennego, który pozwalał postąpić inaczej. Nie jesteśmy podporządkowani rządowi. Ale bardzo często się z nim kontaktujemy. Rozmawiamy z szefami wszystkich resortów,

DZIESIECIU GNIEWNYCH

którzy mają wpływ na sprawy młodych. Z niektórymi podpisaliśmy porozumienia; z pozostałymi podpisujemy. Kontaktujemy się z premierem, wicepremierami, ministrami, kierownikami urzędów centralnych. Są to kontakty partnerskie.

Jeżeli chodzi o partię, to działamy w ideowej więzi z PZPR i współpracujemy z ZSL oraz SD. Nigdy nie próbaliśmy udawać, że nie jesteśmy socjalistami. Były próby, by nie zaznaczać tego socjalistycznego charakteru związku, by to trochę ukryć, „wyprowadzić” chociaż z nazwy, próbując tym pozyskać młodzież. Nie. My jesteśmy jednoznacznie określami. Jak ktoś nie chce, nie musi należeć do naszego związku.

Niektórzy usiłują ograniczyć naszą samodzielność i samorządność. Jesteśmy zdecydowanie tego bronili. Są kłopoty w terenie, gdzie próbują się nas zepchnąć do pozycji przedsięwzięcia przybudówki. Chce podkreślić, że sami zdecydujemy o kierunkach naszej związkowej suwerenności. Nie chcemy zadźwignąć, konfliktów, przepychanek, ale tej samodzielności będziemy bronili. Nie wszędzie musimy to czynić. Oceniamy, że tu w Poznaniu, udało się wprowadzić należyte reguły gry związku ze wszystkimi partnerami.

— Dlaczego Jaskiernia nie został ministrem do spraw młodzieży?

— Dlaczego ministrem został harcerz — Andrzej Ornat, który był przeciwny Komitetowi do Spraw Młodzieży? Był przeciwny, ale zmienił zdanie i został ministrem.

Nic więcej nie mam do powiedzenia. Chyba że jeszcze to: 19 lipca otrzymaliśmy taką propozycję i 24 grudnia do zastanowienia. Analizowaliśmy to z przyjaciółmi i współpracownikami. Został ministrem to kuszające, ale przypominające sobie, że ZHP, SZSP i ZMW były przeciwne powstaniu Komitetu przy Radzie Ministrów.

Nie musimy niczego

Mówi przewodniczący ZG ZSMP — Jerzy Jaskiernia

Walczyliśmy o komitet tylko my. Ja walczyłem ponad rok, bo chciałem, by młodzież miała tak ważny instrument działania. Nie chciałem więc, by sadzono, że dobiejałem się o ministerialną tekę dla siebie. Minister do spraw młodzieży jest młodzieży bardzo potrzebny. Przypominajcie sobie chociażby nasz III Zjazd. Przybyło kilku ministrów. Jeden wiedział więcej inny mniej, młodzież na nich „napadała”, pamiętacie te przepychanki? Po co to wszystko? Tak ma być w nowoczesnym państwie? A tak jest jeden minister, działa, pracuje, a potem odpowiada.

— Jak są realizowane uchwały IX Plenum KCT?

— Prezydium ZG ZSMP niebawem opublikuje swoją ocenę. Ale powiedzmy sobie jasno — czy nie czas myśleć trochę inaczej, a nie ciągle: „Co przed plenum, co po plenum”? A potem będzie X Plenum i wszyscy zapomną o dziewiątym? Pewne sprawy mają scisły cykl realizacyjny, ale przecież uchwały IX Plenum w kwestiach młodzieży

to zapie powinności nie są tygodnie i miesiące. To filozofia i strategia partii na całą lata osiemdziesiąte.

— Jak wyglądały międzypartyjne kontakty ZSMP?

— Nie wiem czy był okres, w którym nasze kontakty z krajami socjalistycznymi były by tak intensywne jak obecnie.

Nie musimy niczego

Opowiedziałem o wszystkim europejskie kraje demokracji ludowej; podpisałyśmy umowy i je realizujemy. Mamy też regularne kontakty z krajami skandynawskimi, Francją, RFN, Nikaragwą. Rozmawiamy z organizacjami postępowej młodzieży i z tymi, którzy chcą z nami rozmawiać. Na przykład po 13 grudnia Brytyjska Rada Młodzieży „napadła” na nas i zmyśliła, podkreślając, że jej przedstawiciele chcą zobaczyć, co się u nas faktycznie dzieje. Wyślaliśmy zaproszenie, ale nie przyjęli. Oni wolą „lepiej wiedzieć” i nie widzieć. Oni tam w Londynie wiedzą lepiej od nas, co się tutaj dzieje. Jesteśmy też bardzo aktywni na forum Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, gdzie Polska to problem numer 1 przed Afganistanem, zbrojeniami i polityką Chin. Myślę, że wiele wyjaśniliśmy naszym zagranicznym partnerom.

— Jaka jest sytuacja finansowa związku?

— W ocenie przewodniczącego zarządów wojewódzkich gospodarczych ZSMP.
— Wiadze związku, a rozliczenia?
— Popieramy oczywiście powstanie Trybunału Stanu i Trybunału Konstytucyjnego. Stojamy na stanowisku takim: za przestępstwa działalności byli promieniści muszą odpowiadać zgodnie z prawem; za błędy w sprawowaniu władzy — odpowiedzialność polityczną. Uważamy, że zakończenie rozliczeń może przyspieszyć stabilizowanie sytuacji w kraju.
— Czy w delegacjach oficjalnych przewodniczący ZSMP jest jedynie statystą?
— Ograniczę się do mego udziału w składzie delegacji partyjno - rządowej w Rumuni. Wyjazd taki mocno warunkuje protokół. Są rozmowy, w których uczestniczą tylko przewodniczący delegacji; pozostali są przysłuchują. Muszę powiedzieć, że rozmowa Wojciecha Jaruzelskiego i Nicolae Ceausescu była najciekawszą rozmową polityczną w jakiej miałem spotkanie zarządów wojewódzkich

POGLĄDY I OBSERWACJE

„Dlaczego musimy żyć w takiej trwodze? Dlaczego moje dzieciństwo, trudniejsze, bo tuż powojenne, ma być w porównaniu z życiem mojego dziecka sielanką? Jak długo będziemy się bać o nasze dzieci, jak ja o swoje, które z kluczem do mieszkania na szyi jest w niebezpieczeństwie nawet wtedy, gdy bawi się po podwórku w piaskownicy nie zdając sobie sprawy z tego, że to jest groźne, bo właśnie wypada w tym dniu rocznica

Lekarka z Lubina do reportera Zbigniewa Figata „Panorama” nr 31

„Moim zdaniem, i nie tylko zresztą moim, obracam się przeciw w środowisku młodych przynależnych ludzi — nie ma żadnej szansy osiągnięcia pozełty w nauce człowieka, który zakłada pracę z nauką z dziennika telewizyjnego. Nie dotyczy to wbrew pozorom, tylko kadry techniczne. Ekonomistów również. Wielu ludzi nie ma pojęcia co to przemysł, jaki żywy organizm stanowi np. fab-

ryka. Teoretyzują, wymyślają koncepcje, które pasują do życia jak kwiatek do kożucha. Nie dziwne, że po kilku takich eksperymentach, wszystko się wali”

Krzysztof Matysiński „Razem” nr 24

„Uważam że mamy do czynienia z mitem formalnej dojrzałości. Tymczasem nie jest tak, że w ostatniej klasie szkoły średniej jest się jeszcze niedojrzałym, a na pierwszym roku studiów — już dojrzałym, doświadczonym człowiekiem, na którego nie trzeba w żaden sposób oddziaływać. Uczelnia musi pomagać w przekraczaniu progów między szkołą średnią a wyższą, uwzględniać ten próg w swojej działalności”

Prof. Benon Miśkiewicz minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki „Sztandar Młodych” nr 163

„Nie dziwne, że młodzi są niecierpliwi i zbuntowani. Zaw sze byli tacy. Moje pokolenie było nie mniej buntownicze. Na nas

też narzekano. Byłoby źle, gdyby młodzi byli potulni i posłuszni. Niepokoiłbym się wówczas o ich przyszłość”

Alfred Szklarski „Przebieg Tygodniowy” nr 27

„Narzucany środowiskom artystycznym bojkot TV i radia a także moralne karcenie tych którzy z różnych względów uważają za rzecz normalną i uzasadnioną współpracę z tymi instytucjami oraz prasą itp., dotkliwie uderza (nie tylko w sensie finansowym) w młodych wiekiem i doświadczonym artystów. Chcieliby się przeciw sprawdzić, pokazać społeczeństwu swoje umiejętności. Bojkot wydużył ich drogę do kariery, do uzyskania popularności, bez której artysta żyć nie może. Prowadzący bojkotu, organizatorzy moralnych nacisków biorą zatem odpowiedzialność za zwichnięty start młodych artystów”

Komentator „Polityka” nr 33

„Można mieć ból głowy. Można mieć czas. Można mieć pokój tak zastawiony meblami, że aż się uginą podłoga. Zjemy w czasach, kiedy wyżej cenili się ludzie, którzy mają uginające się podłogi niż poglądy”

Katarzyna Stefańska „Filipinka” nr 10

MŁODA PLASTYKA



„Niedziela rano”, olej, 1981.

Fot. — Archiwum

Jerzy Oleksiak urodził się w 1952 roku w Sierpcu. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu na wydziale architektury wnętrz, dyplom uzyskał w 1976 roku. Jest laureatem konkursów na rysunek i grafikę im. Jana Wróbleckiego i konkursu malarstwa im. Jana Spychalskiego. Biorze udział w wystawach. Mieszka i tworzy w Poznaniu.

Jerzy Oleksiak uprawia kilka gatunków plastycznych, najbardziej znaczące jednak w jego twórczości jest malarstwo. Jest on w swoich pracach realistą we współczesnym znaczeniu tego słowa. Maluje głównie portrety. Jak pisze krytyk: „Oleksiak portretuje swoje postaci z pewnego rodzaju bezwzględnością, jaka cechuje oko kamery fotograficznej... I jeszcze problem tła — bardzo istotny dla tego malarstwa. Oleksiak unika wypełniania go jakimiśkolwiek przedmiotami — ba za wszelką cenę chce uniknąć nawet ich aluzji.

Młody artysta należy do tego pokolenia twórczego, które w najbliższych latach określać będzie pejzaż plastyki polskiej. (bran)

Krzyki i szept

Dokończenie ze str. 1

szyl. Podczas m. in. prokuratorskiego dochodzenia ustalono, że E. P. wyłudził kwotę kilku tysięcy złotych od zakładu; sam się zresztą do tego przyznał, informując, że zgineł mu pieniądz. Zakład nie zwalnia związkowca lecz nieuczciwego pracownika, którego stanowisko wymaga nieposzlakowanej rzetelności przy sporządzaniu dokumentów. Jakikolwiek sugestie co do terminu zwolnienia (już po wprowadzeniu stanu wojennego) są zwyczajną insynuacją; dopiero wówczas „Gromada” przysłała odpowiedź na listopadową prośbę zakładu o szczegółowe przedstawienie kosztów wycieczki. Wówczas to sprawa cała dopiero wyszła na jaw.

Rewident jednego z przedsiębiorstw zwolniony został za naruszenie obowiązków pracowniczych, polegające na odmowie wykonywania innej niż dotychczas pracy. On sam utrzymuje że zwolniono go tylko dlatego, iż 7 grudnia, po długotrwałych staraniach w

innej formie, złożył w prokuraturze doniesienie o przestępstwie, zawiadamiając organa kontroli państwowej, MO, telewizję i prasę. Sąd ustalił, iż doniesienie to miało charakter szykan, że nie z tego co mówił, nie potwierdziło się przed prokuratorem. Prócz słów rewident nie dysponował żadnym dowodem. Pracownik nie został zwolniony za to, że bezpodstawnie pomówił kolegów o przestępstwo, lecz za to, że przeniesiony ze stanowiska rewidenta do działu głównego specjalisty odmówił wykonania pracy. Sam poszkodowany pisze do TKO m. in. tak: „Kończąc te wyjaśnienia, które są tylko częścią wszystkich zdarzeń pragnę zacytować fragment artykułu z „Gazety Poznańskiej” — „Zamknąć tę szafę na klucz”, który to artykuł sugerował i polecała innym ku przestrodze Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej w Poznaniu. Artykuł ten kończy się słowami: „Gdziekolwiek zwalniają (redukują, przenoszą, przekazują do innego działu) rewidenta, tam powinno się

posłać prokuratora. Niech sprawdzi dlaczego to robią?”

W tych sprawach nie ma mocnych. Chciałoby się powiedzieć, że nie ma też mądrych tam, gdzie konflikt przybiera rozmiary ostateczne. Ale przecie to nie cała prawda, gdy trzeba odpowiedzieć sobie na kilka prostych pytań. Czy związki zawodowe nie staną się jedną z barier przed dochodnością „nadgorliwością i niegodziwością przy zwalnianiu z pracy niektórych ludzi? Czy nie jest niezbędne by starz z pracodawcami unikalili, na których zawsze można znaleźć „hak”? Czy istnieje potrzeba przeszerzenia opinii, że uczyliw i sumienny pracownik jest bez szans? Czy w wielu przypadkach zaistniałych w tym roku konfliktów pracowniczych wszystkich, co trzeba zrobiły organizacje działające w stanie wojennym? Czy wreszcie zakłady pracy muszą być skrepowane świadomością, iż pozbawiając się niepotrzebnego lub niesumiennego pracownika ponawiają błąd o wszelkie niegodziwości? Zastoczyliśmy duże koło, by wrócić do punktu wyjścia. Ale przecież chyba nie jest to sytuacja bez wyjścia?

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

możność uczestniczyć. Czy byłam statystą? Przewodniczyłem na przykład obradom zespołu do spraw młodzieży. To chyba nie jest statystowanie.

— Dlaczego ZSMP peha się do uczelnie, miał ograniczyć się do działania w środowisku młodzieży robotniczej?

— Po prostu potrzebni nam są ludzie z wyższym wykształceniem. Pracownicy naukowi też. Nasza szansa są zetempowcy, podejmujący naukę w szkołach wyższych. Im silniej pojawimy się w

udawać

szkołach wyższych jako organizacja młodzieżowa, tym szybciej poprawi się atmosfera ideowo - polityczna wśród młodzieży. W środowisku studentek i władze uczelni spoglądają zyczliwie na ZSMP. Musimy to wykorzystać.

— Ale młodzież szkolna swych nadziei nie lokuje w ZSMP?

— Przypuszczam, że o dziwo tam najtrudniej jest rozwinąć naszą działalność. Ale musimy, bo najważniejszym i pierwszym etapem „socializacji” młodzieży jest etap szkoły średniej. Będzie to, jak już mówiłem, trudne, tym bardziej że w niektórych szkołach nawet nauczyciele z niechęcią spoglądają na nasz związek. Najgorsza sytuacja jest w szkołach o tradycjach elitarnych, z przewagą dzieci elity inteligentkiej. To najbardziej odporne na nasze działania środowisko.

— Po co nam, młodzieży, taki twór jak Komitet do Spraw Młodzieży przy Radzie Ministrów?

— Częściowo już mówiłem. Komitet powstał z naszej inicjatywy i jesteśmy z tego dumni. W nim nasze nadzie-

je, że działalność związków młodzieży nie zamknie się na programowaniu. Komitet ma zadbać o ułatwienie nam działań i jednocześnie ma nas odciążyć od wielu czynności administracyjnych, gdyż powoli stawaliśmy się urzędem. A propos urzędów. Nareszcie będziemy mogli się wycofać ze wszystkich czynności administracyjnych i przykładowo w podziale towarów deficytowych nie będziemy uczestniczyć. Niech czynią to wojewodowie. To ich „działka”. Nam to sławy wcale nie przysparzało, bo wszystkich nigdy się nie zadowoli. Zawsze znajdzie się ktoś, kto rzuci błotem. Nie znaczy to, iż młodzież będzie pomijana przy podziale dóbr deficytowych. Tego m. in. ma pilnować właśnie Komitet do Spraw Młodzieży. Jego najbliższe posiedzenia poświęcone będą budownictwu, a w tym modnej ostatnio spółdzielczości indywidualnej oraz kredytem dla młodych małżeństw. My jako organizacja polityczna, wychowawcza, ideologiczna i tym wszystkim w imię czego zostaliśmy powołani,

— Co Jurek Jaskiernia sądzi o PRON-ie?

— Odpowiadam krótko — jestem za. Gdy powstawała grupa inicjatywna trochę o nas zapomniano, lecz ręce za to, że w Krajowej Radzie Tymczasowej PRON będą zetempowcy — nie działacze funkcyjni naszego związku, lecz aktywiści bez funkcji związkowych. Z jednym wyjątkiem — jako przewodniczący ZSMP zapewne znajdzie się w Krajowej Radzie Tymczasowej PRON.

— Co z działalnością Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej?

— Gdy ukazała się praso-

wa zapowiedź o zjedzie KZMP ktoś tam za granicą wymyślił, że jeśli podczas stanu wojennego w Polsce zaplanował porządek to i w ruchu młodzieżowym również zlikwidowane różnorodność i w miejsce wszystkich związków utworzono jeden — KZMP. Ale to bzdura. Organizacja liczyła zaledwie 900 członków i nigdy nie zdobyła prawnego statusu związku. Podjękowane więc młodym komunistom za inicjatywę i poproszono o więcej, ale już w ramach jednego z czterech działających w Polsce legalnie związków młodzieży. KZMP mógł bowiem wbrew swoim intencjom zostać wmanipulowany w osłabienie ruchu młodzieżowego, tworzenie dalszych podziałów. Rozumnie to doskonalę rozgłoszenia „Wolnej Europy” i mocno agituje za KZMP.

— Co z działalnością ZSMP na wsi?

— Dobrze. Pozostajemy nadal największą organizacją, skupiającą młodzież wiejską. Jest nas tam 700 000, a Związek Młodzieży Wiejskiej liczy 200 000 członków. Próbuja nam odebrać dominację i wpływ w środowisku wiejskim, lecz my się nie dajemy i nadal młodzież wiejska pod naszymi auspicjami wnosi wiele dobrego w tamto środowisko. ZSMP to również młodzież wiejska. Popieramy zwolnieniu młodzieży wiejskiej, ale przeciwstawiamy się wówczas, gdy aktywność nowego związku dotyczy rozbijania lub przejmowania istniejących struktur ZSMP jest spadkobiercą Socjalistycznego Związku Młodzieży Wiejskiej. Niech ZMW działa jak najlepiej — ta nasza konkurencja może młodzieży wsi wyjść tylko na dobre. Ale niech ZMW tworzy nowe, a nie, jak to czasami bywa, przeszkadza w tym, co już funkcjonuje.

— Jak się pan czuje jako chłopiec do bicia?

— Ze niby wszystkiemu winni są masoni, Żydzi, a teraz jeszcze historycy? No cóż — żyjemy w okresie, gdy właśnie nas wzywa się do tablicy, obarczając odpowiedzialnością za kryzys świadomości społecznej. Zapytajmy jednak o stan prac nad najnowszą historią, o dostępność wydawnictw i o poziom edukacji historycznej... Śmiem twierdzić, że dekada lat siedemdziesiątych zaowocowała wynikami, jakich historycy wcześniej nie odnotowywali. Wystarczy wymienić trzy duże opracowania, dotyczące dziejów Polski (które są zbiorowym dziełem środowisk poznańskiego, krakowskiego i warszawskiego), badania nad historią powszechną i — rozpoczęte — nad kulturą i świadomością społeczną. Chociaż nie ma jeszcze spodziewanych wyników tych ostatnich, przecież zgromadzono obszerny materiał (także z dziedzin dotychczas zaniedbanych), który jest nadal opracowywany.

— Czy jednak w latach siedemdziesiątych historycy — jak się to określa — przestali być „dyspozycyjni”?

— Nasze środowisko chyba najwcześniej zaczęło przejawiać niepokój o kierunek rozwoju państwa, przede wszystkim jednak o rozwój nauki. Protestowaliśmy przeciwko decyzjom dotyczącym niewielkich nakładów wydawnictw o tematyce historycznej. Cóż bowiem z tego, że pojawiały się prace odkrywające „nieznane lądy”, jeśli nie mogły one dotrzeć do szerokiego kręgu społecznych?

— Nie ma już więc „białych plam”?

— Sądzę, że w nauce faktycznie już ich nie ma. Są tylko zagadnienia zbadane dobrze i niedostatecznie, co zależy od wielu czynników, a przede wszystkim od dostępu do dokumentów, które znajdują się w archiwach.

— Mimo wszystko nadal systemy jednak w kręgu narodowych mitów i legend. Czy był pan zaskoczony istną lawiną publikacji wydawanych poza cenzurą w latach 1980 — 1981? W sposób odmienny niż to czyniono oficjalnie, prezentowane w nich między innymi działalności Józefa Piłsudskiego, sprawę Katyńską, antyhitlerowską konspirację, stosunki polsko-radzieckie, a nawet dzieje polskiego ruchu robotniczego — te wspomnę tylko o sfajzowanych od początku do końca „wspomnieniach” Władysława Gomułki pt. „Moje ceterosanele las”...

— Nie, nie byłem tym zaskoczony. Owe wydawnictwa nie miały wprawdzie nic wspólnego z naukową rzetelnością, chociaż bardzo silnie oddziaływały na różne kręgi społeczeństwa, przede wszystkim na młodzież. Przyczyna tkwi chyba w nauczaniu historii. Obserwowaliśmy systematyczne ograniczanie liczby godzin przeznaczanych na ten przedmiot, a nawet jego wyrugowanie z niektórych szkół (zwłaszcza technicznych) i zastąpienie bardziej „dwerskim” dyscyplinami. Chociaż przy każdej okazji przedstawiciele kierownictwa politycznego mówili o wielkim znaczeniu tej dyscypliny, w praktyce traktowana ona była okazjonalnie. Duże braki merytoryczne i metodyczne zawierały powielane przez wiele lat podręczniki, których treść daleko odbiegała od aktualnego stanu badań naukowych.

— Skutki przesłania „niewygodnych” tematów są fatalne...

— Przede wszystkim dlatego, że — tendencyjnie prezentując sprawy dotychczas przemilczane, utrwalano owe mity i legendy. Dla młodzieży było to objawieniem — okazało się, że jest jeszcze inna historia, nie tylko ta z nudnych podręczników. Trzeba przypaść, że przeciwnik polityczny trafnie dobrał tematykę. Nie chodziło mu jednak o rzetelne uzupełnienie edukacji historycznej, lecz o kształtowanie takiego stanu świadomości, by społeczeństwo chciało przyjmować polityczne tezy antysocjalistycznej opozycji. Temu celowi służyło na przykład negowanie głównego czynnika sprawnego dla odrodzenia państwa polskiego w 1918 roku — sytuacji międzynarodowej, w tym rewolucji październikowej w Rosji, na rzecz silnego eksponowania czyni legionowego. Nie można go pomniejszać, ale też byłoby błędem wysuwanie tej wła-

nie sprawy na pierwsze miejsce. Chodziło jednak o zaakcentowanie antyrosyjskich i antyradzieckich tendencji w polityce Piłsudskiego i przypomnienie jego legendy meża opatrnościowego.

— Koncepcja programu nauczania historii, w którym czy to pomija się niektóre wydarzenia, czy też akcentuje wyłącznie sukcesy, okazała się nieskuteczną. Jeśli nie chcemy, by „białe plamy” napisywał polityczny przeciwnik, musimy to czynić rzetelnie i bez niedomówień. Które tematy przede wszystkim włączyłby pan profesor do obiegu szkolnego?

— Trzeba bez przeinaczania ukazywać całą naszą historię. Wszystkie nurty, zjawiska i ludzie winni otrzymać rzetelną ocenę, by młodzież zrozumiała, że dzieje narodu nie sprowadzają się do następowania po sobie kolejnych pokoleń, kolejnych formacji społeczno-politycznych. Nowy program nauczania historii, obowiązujący od września ubiegłego roku, w znacznym stopniu odpowiada tym wymaganiom. Musi on być jednak wzbogacony, na przykład o rozmaite zjawiska i tendencje polityczne z okresu drugiej Rzeczypospolitej czy o złożoność struktury społeczeństwa w latach drugiej wojny światowej. Należy ponadto ukazać powiązania historii Polski z wydarzeniami w innych krajach, mającymi wpływ na nasze losy. Dlatego osobliwie jestem przeciwny omawianiu takich wydarzeń, jak „cud nad Wisłą”, przewrót majowy, układ Ribbentrop — Molotov, powstanie warszawskie — w oderwaniu od ich kontekstu. Nie można też dziejów Polski Ludowej sprowadzać do kolejnych kryzysów.

— Czy zgodził się pan, że w programie nauczania historii należałoby na przykład uwzględnić narodowy (drug, obok klasowego) nurt dziejów ruchu robotniczego, koncepcję Piłsudskiego walki o ukształtowanie wschodniej granicy (kierującej do odsyskania ziem będących pod panowaniem Polski w 1912 roku), o wszystkie wydarzenia zamotowane przez historię we wrześniu 1939 roku? Czy zgodził się pan, że omawiając w szkołach dzieje Polski po drugiej wojnie światowej nie powinniśmy przemilczać form walki z politycznym podziemiem, problemu legitymizacji PKWN i Rządu Tymczasowego, istoty kryzysu w roku 1948, a więc także zagadnień prawicowo-nacjonalistycznego i lewicowego odchylenia, wreszcie — zaprzeczania najbezpiecznych tradycji i autentycznych zdobyczy PPR i PZP? A jeszcze — wewnątrz uwarunkowania kultu jednostki w Polsce, niechlubna karta napisana przez X Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, grudzień 1970 roku...

— Z całą pewnością trzeba uczyć patrzenia historycznego, zwalczając zaś ahistoryczne. Jest to możliwe właśnie przez zaprezentowanie spraw polskich w szerokim kontekście europejskim, co zapobiegnie także tendencji do wychowania nacjonalistycznego. Tematy, które pan przytoczył, należy omawiać tylko w takim zakresie, w jakim możliwa jest rzetelna ich ocena, a więc zaawansowanie badań źródłowych. Dotychczasowe doświadczenie uczy, że jednostronna interpretacja dziejów najnowszych, pozbawiona źródłowej podstawy, przynosi szkody. Młodzież powinna sobie zdawać sprawę z takich obiektywnych ograniczeń.

— Jakże mogą być pozytywne skutki rzetelnego zapisywania „białych plam”?

— Przede wszystkim wiedza o przeszłości nie będzie zawierała luk. Wytrącenie w ten sposób broni przeciwnikowi politycznemu, które nie zależy przecież na odkrywaniu prawdy historycznej, oznaczałoby także to, że młody człowiek znalazłby w szkole odpowiedź na nurtujące go pytania. Ważniejsza jednak jest rysująca się możliwość takiego kształtowania świadomości historycznej i politycznej, której istotą stałoby się rozumienie złożoności procesów dziejowych, co ma istotne znaczenie dla dostrzegania uwarunkowań i potrzeb czasów nam współczesnych. Przecież gdyby społeczeństwo od początku zdawało sobie sprawę z kosztów wzrostu stopy życiowej w latach siedemdziesiątych, z

Dokończenie na str. 4

Kto powinien być bohaterem pierwszego muzycznego felietonu? Nie ukrywał swoich wątpliwości kolega redagujący „Głosowy” dodatek młodzieżowy. Wprawdzie podkreślał, iż tekst publikowany pod tą winitką będzie niezależny i samorządny, jednakże gdy usłyszał iż inauguracyjny zapis ma być o Karolu Szymanowskim, na jego twarzy zarysował się grymas niezadowolenia. Dopiero gdy wspomnieliśmy, że muzyka tworzący „Harnasi” nieobca jest i znakomitej większości zwolenników muzyki rozrywkowo-rokowej, redaktor ów ustąpił. Do końca wszakże nieprzekonywany czy aby nie bluffuje.

Niektórzy są chyba miłośnikami rozmaitych gatunków i odmian muzyki zwanej umownie rozrywkową, którzy nie słuchaliby czwartego — stereofonicznego — programu Polskiego Radia. A jego muzycznym sygnałem jest kilkusekundowy fragment... IV Symfonii „koncertującej” Karola Szymanowskiego.

Nie mam stądże i wiem, że od stachania — nawet czystego — kilku taktów, do poznania jednego choćby dzieła największego po Chopinie polskiego kompozytora droga daleka. Myślę jednak, iż w dniach niedodległych setnej rocznicy urodzin (3 lub 6. X 1882) i 45-lecia śmierci, gdy muzyczny świat, pod patronatem UNESCO, obchodzi Międzynarodowy Rok Szymanowskiego, w miejsce z wiatu wędrownym blaskiem tema twór-

Kłós Struny Głogno Tręca

Cosi inkse, ale tyz dobre

niemalżeby dost-zedenie tej postaci byłoby sporym nietaktem.

Dowiadyując się zewsząd jak tego roku wspaniale przyjmowana jest pod różnymi szerokościami geograficznymi muzyka Karola z Tymoszońki rodem, można mieć nadzieję, iż szerokie kręgi melomanów wkrótce poznają jednak i zasmakują w sztuce tego najwybitniejszego polskiego romantyka współczesności. Człowieka, który żył stosunkowo niedługo i pozostawił niewielką liczbę dzieł (zawierająca 63 opusy), lecz który swą twórczością zasłużył na poczesne miejsce w światowym dorobku muzycznym.

Karol Szymanowski, który (być może z powodu nadwrotnego zdrowia: od dzieciństwa niekała go gruźlica) nigdy nie założył własnej rodziny i przez większość życia nie miał praktycznie własnego domu, bardzo wiele podróżował: w Europie, po Ameryce. Dotarł nawet na kontynenty afrykański. Z jednej strony dzięki pomocy niezliczonych przyjaciół (w większości artystycznych i komitoteści pierwszej połowy naszego stulecia), z drugiej — nierazko był to wojaczka „za chlebem”. Niestety, z wie-

wiedzi kompozytor zawsze miał kłopoty. Na jego utrzymanie pozostawała niemała rodzina, w tym poważnie chore matka. Choćby do pieniędzy Szymanowski nie zwykł przywiązywać większej wagi, ciężko jednak na nie pracował koncertując jako pianista (nawet przy tym, iż był dość miernym wykonawcą). A gdy zgromadził ich trochę więcej, przeważnie oddawał innym, bardziej — jak mu się zdawało — potrzebującym. Tak wspomina jego siostrzenica Krystyna Dąbrowska: „Nie wiem czy ktokolwiek orientował się, że ten człowiek tak niewiele, tak bardzo niewiele posiadał. Nawet „Atma” („jego” ukochana wółta zakopiańska) była cudza, i pianino, przy którym komponował — cudze. Cały jego majątek stanowiły: forte. parę makat i obrazów, gary na kwiaty, gumowy tub i... to chyba wszystko”. Szczególnie w latach trzydziestych bywało często, że komponował w przerwach między meczami podróży zarobkowymi. A jednak właśnie wtedy stworzył wspomnianą IV Symfonię „koncertującą” i dokończył balet „Harnasi”.

Objawia to wybitne dzieła, a także uwaga — „Stabat Mater”, komponowane w ro-

ku 1926) wiązać się w istotnej mierze z Poznaniem. Tu, w październiku 1932 roku, na scenie Teatru Wielkiego nastąpiło światowe prawykonanie IV Symfonii z kompozytorem w roli solisty, a trzy i pół roku wcześniej odbyło się pierwsze w kraju w obecności kompozytora wykonanie „Stabat Mater”. Poznaniacy też byli pierwszymi w Polsce widzami i słuchaczami „Harnasi”. w kwietniu 1938 — w rok po śmierci Szymanowskiego.

Tak jak za życia kompozytora — choć stolica Wielkopolski nie należała do miast najbliższych sercu Szymanowskiego — takich jak Zakopane, Warszawa czy Paryż — tutaj placówki muzyczne zabiegały o jego najcenniejsze prezentowanie jego dzieł, tak i w „Międzynarodowym Roku” zadbały o jego jak najgłośniejsze uczczenie, o czym wielokrotnie „Głos” pisał.

Nie sądzę wprawdzie, aby muzyka Szymanowskiego mogła teraz rywalizować wśród nastoletków z muzyką „młodej generacji”, lecz zachęcam czytelników do wysłuchania chociaż jednego utworu autora „Harnasi”. A gdyby się okazało, że ten pierwszy nie będzie ostatnim, życzę wam byście kiedyś mogli szerzej wypowiedzieć myśl podobną do tej, którą przed prawie pół wiekiem wyraził sławny muzykant góralski Bartuś Obrochta: „Pięknieście to wyzładałi, panie Szymanowski. Wy już coś takiego w uchu macie, cos inkse jako jo, ale tyz dobre!”

WOJCIECH NENTWIG

Samochody szybsze od śmierci



Podulne cygara, bolidy „prastarym zwyczajem” zwane jeszcze samochodami, ryczą na najwyższych obrotach, ustawione w szuku startowym. Chorągiewka startera zatacza łuk i pojazdy jak wyrzuczone z katapulty wyruszają na trasę. Nie wszystkie. Kilka z nich szepczonych z sobą utyka na starcie. To jeszcze nie groźnego — szczęście w nieszczęściu. Przy większej szybkości, parę metrów dalej konsekwencje takiej kraksy byłyby już nieporównywalnie większe. Póki co, pozostałe maszyny mkną dalej w opętającym tempie, okrążając raz za razem wytyczony odcinek trasy. Jest ich jednak po każdej rundzie mniej. To jakiś defekt, to wypadnięcie z toru, to kraksa, to któryś stanął w płomieniach. Na te ludzie przychodzą, za to ludzie płacą i to chcą oglądać. Zapominają jednak, że tymi pedzającymi maszynami kierują żywi ludzie. W każdym samochodzie siedzi człowiek, któremu na pewno do wrót niebieskich niespieszno, ale on za swoje ryzyko bierze pieniądze (i to niemałe), więc jego „psim obowiązkiem” jest ryzykować i przybyć na metę przed konkurentami.

Formuła I. Samochodowe wyścigi ze śmiercią. Biejący sezon pochłonął kolejne ofiary. Zginął na torze, chociaż nie podczas wyścigu, ale na treningu przed Grand Prix Belgii, jeden z największych talentów automobilizmu — Kanadyjczyk G. Villeneuve. Jego los przed laty podzielił inni kierowcy, plasujący się na czołowych lokatach klasyfikacji mistrzostw świata; taki choćby R. Pettersen. Ginął również kierowcy, których nazwiska pojawiały się w czołówkach gazet sportowych dopiero po ich śmierci. Do nich należał Włoch R. Paletti ostatnia ofiara samochodowych wyścigów formuły I, który poniósł śmierć w Grand Prix Kanady. Jego samochód zdurzył się z innymi zaraz po starcie, ale była to już szybkość 190 km na godz. N. Lauda — żywa legenda automobilowych torów. Nikt dzisiaj nie zliczy na jego ciele bliźni po ranach odniesionych w kraksach. Be ciałe Laudy to jedna wielka bliźna. Startuje nadal. Nie wypadł z wielkiej rywalizacji. Z tych ludzi rzadko, kto odchodzi. W ostatnich czasach jedynie M. Andretti, który wreszcie już powrócił na tor, A. Jones, J. Hunt.

Bez białych plam

Dołączcie ze str. 3 pewnością nie doszłoby do tak dramatycznego załamania.

— Czy sądzi pan, że dzisiaj jest możliwa likwidacja wszystkich „białych plam” w naszym historii?

— Historykowi — dla dokonania syntezy i oceny zjawiska — potrzebna jest perspektywa czasu. Nie tylko u nas władza zabezpiecza się przed pochopnymi ocenami dziejów najnowszych, ustanawiając bariery w dostępie do materiałów archiwalnych. Dzisiaj możemy dogłębnie ocenić wydarzenia pierwszych lat po II wojnie światowej, do około połowy lat pięćdziesiątych. Na przykład dopiero w tym roku szerzej omawia się tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne.

— Nie można więc — z przyczyn obiektywnych — napisać wszystkich „białych plam” w programach szkolnych...
— Oczywiście. Czy jednak najnowszych dziejów nie można publicznie prezentować? Otóż można i trzeba.
— Dajcieżcie za rozmowę.

Rozmawiał ZYGMUNT ROLA

Obrazki z krainy dzieciństwa

Kto z nas tych lat nie pamięta, kiedy młode pachole... Któż z nas tych nie sięga w swoim pamiętniku do wspomnień z dzieciństwa, który nie próbuje po raz drugi, dla swoich czytelników, ale i dla siebie, przeżyć tego, co z najwspanialszą młodością tak mocno odznacza się na kliszy pamięci? Wspomnienia na młodością ściągają nas całe życie. Ale chyba najbardziej tych, którzy poddawani są jej doświadczeniu gdzieś daleko, za granicą i morzami. Tak stało się i z Czesławem Miłoszem, który po kilkunastu latach życia w Stanach Zjednoczonych też odbył wędrówkę do tej krainy bajki, jaką jest w rzeczy samej krajna pamięć o naszym dzieciństwie. I powstała „Dolina Issy”, świeżo wydana w Polsce, a teraz sfinansowana przez Tadeusza Konwickiego, też pisarza, ale i filmowca, a jednocześnie zionka Miłosza. Obaj wywodzą się bowiem z Litwy, z tej części ziem litewskich, które przed wojną należały do Polski, ale gdzie Polacy gromadzi się albo w miastach, albo tkwili w szlacheckich dworach, często otoczonych żywiołem litewskim.

brzydkie, wspaniałe nie takie, jakie zachowałoby w pamięci. Szczególnie, którzy nie wstają! Albowiem bajka w ich pamięci nabiera coraz to nowych barw, piękniejsze, staje się coraz bardziej tajemniczą i fascynującą. Tak zdaje się być właśnie z Miłoszem i Konwickim i ich wycieczką do Litwy Kowieńskiej, gdzie znajdowała się rodzina posiadłość Miłoszów — Szejnate i gdzie mały Czesław przeży-

W STRONIE KINA

wał być może najwspanialsze (choć dla każdego są najwspanialsze) lata swego życia, wśród pierzei, rzek i jezior wśród wydarzeń, których znaczenia nie pojmował, ale które z przeciętciem podziwiał.

Książka i film pod tym samym tytułem są owocem młodości obu twórców do ich stron rodzinnych, które opuścili dawno temu. Opowiadają jak te strony wyglądały i tu film daje wirtuozerskie efekty litewskiej przyrody — jakże z najpiękniejszych w północnym śnie. Obrazy wyznakowane kolorystycznie, pełnia z różnymi porami dnia i nocy, dalekie krajobrazy i

białe śniegi. Plastyczna strona filmu jest wypracowana i na imnie z obła znacząco wrażeń. Pojawiają się tuja praktycznie pokazujące kampanie polityczne Nowego Jorku. Tu się pojawia i USA sterującą się w filmie i reżyserką filmowców poznana Miłosza, jednakże nastąpiła za porażona sytuacja.

Trudniej odczuwać o kreśl. Miłosz. Dwa razy wycieczka próbuje bowiem wcielić się ponownie w odległą przeszłość i spróbować na własnym łonie, jak go wtedy widział. Działaczostek na swojej wódkę świata. Dostrzeżenie tytułu to co go w której chwili zaliczamy. Miłoszowi ma się rzeczo widoczne we filmie i na jawie. Nie pomimo wahań początków ludzi z najpiękniejszą otoczeniem. Konwicki próbuje wejść w dąsac tego odległego i przeważnie narrację w ładny i przyjemny, niełatwy sposób. Film jest więc znaczącym filmowym studium pokazującym jakżeż światu rodzinnym, jakżeż obywatel, jakżeż religijny. Dobre są w filmie śpiewa, przeważnie po Miłoszu. Wszystko to są rzeczy drobne z sobą powiązane, w każdym razie pokazujące nam jak najbardziej spójnego walek bałwanów.

Ślad film jest wspaniały w odwołaniu, niestety niestety. Na pewno nie dla młodszej widowni. Ciekawy jako świadectwo stworzone później do opow i historyj lub doświadczeń.

RECENZOWAŁ BŁAŻEKSI

Nie tempo ważne lecz kierunek



Fot. „Głos” — R. Królak

Dzień, w którym ukazujemy się nasz dodatek jest dniem niezwykłym. Dzisiaj więc chociaż

POCALUJ ZONE

czulej niż zwykle, z uśmiechem przyjmując skibki z wątrobianką do pracy.

Korespondentka egencji Reutera relacjonuje po wrodzenie w Argentynie wspomnień żołnierzy z zakończonej klęsk próby odzyskania siły przez ten kraj Wysp Falklandzkich (Malwinijskich).

Zbiór ponurych opowieści pzbawionych bluzki argentyńskich rekrutów, o wojnie falklandzkiej (malwinijskiej), weszły na listę książkowych bestsellerów w tym kraju. Książka 36-letniego argentyńskiego dziennikarza Daniela Kona: „Los chicos de la guerra” („Dzieci wojny”) maluje obrazy odwagi i cierpienia, walk i nierównych szans, prowadzącej — jak to często ndowadzano — pod nieudolnym, bezlistym i nieskoordynowanym dowództwem. Kon, dziennikarski „wolny strzelec”, przeprowadził dziesiątki wywiadów z żołnierzami, którzy powrócili na ląd, zanim dokonali selekcyjnej, obejmującej osiem wypowiedzi spisanych w pierwszej osobie i uzupełnił je krótkim rozdziałem końcowym.

Kończowa część książki, która w ciągu trzech tygodni po jej ukazaniu się miała już cztery wydania, jest szczególnie przejmująca. Opowiada ona o losie rekruta T., zdolnego pianisty i aranżera, który stracił dwa palce oraz trzech najlepszych przyjaciół, a obecnie rozpacza w kółku na oddziale psychiatrycznym.

Zacząłem robić wywiady z tymi chłopakami, kiedy jeszcze nikt nie wiedział, co się tam naprawdę działo. Początkowo dostawałem dreszczy, słuchając ich opowiadań o okropnościach, przez które przeszli” — powiedział Kon korespondentce Reutera.

Zbiegnięci i zgłodniałi żołnierze frontowi opowiadali o chaotycznym rozdziale żywności i odzieży, których nieraz brakowało w o-

Argentyński bestseller

W plecaku z buławą braknie miejsca na chleb

gdy, podczas gdy w magazynach w Port Stanley, kiedy tam się wycofali, znajdowano — ze śladami w sensie — pozostałości jedzenia i nieprzepracowanych magazynów.

36-letni student Guillermo przyznaje, że gdy znalazł rekrutów do wybuchu żywności z argentyńskich magazynów, pomimo próby samowyczerpania Cl, których na tym wykryto, jak mówi Santiago, młodzieńcze z wrogiego, północnoamerykańskiego rejonu Argentyny, byli zmęczeni do leżenia, ze związany rękami i nogami, na narodnej ziemi.

Santiago powiedział, że niektórzy oficerowie rezerwy woleli karać za takie wykroczenia laszczę, kuszając więźniów do stania na krawędzi kosa i z gotyną podnieśmioną w górę rękoma, albo rozbierając ich od pasa w dół i bijąc. Pewnego razu, mówi Santiago, pod wpływem wieloletniej na wódki żołnierza, ledzącego na ziemi i krzyżowego z zimną, nie bacząc na ryzyko ukarania go w ten sam sposób, zapisał on swego dowódcę: „W jaki sposób zamierzacie walczyć z Anglikami, jeśli sami doprowadzicie do odmrożenia ciała własnych żołnierzy?”. Pomimo tego pytania, Santiago nie został na to ukarany.

Żołnierze, którym polecono wstrzymać pozycje obronne w okolicy Falklandów, Port Stan-

ley, mówią, że wysłano ich tam „w ciemno”, bez żadnych map. Na przesto miesiąc przed desantem Brytyjczyków na wyspach, musieli oni wykopać okopy i — jak mówi pewien młody weteran — żyć „tak jak jaskiniowcy”. Oprócz posiłków zrzucanej czasami żywności, jedynym ich zajęciem było zabijanie i ściąganie skór z owiec oraz nieustanne czyszczenie przestarzałej, a często także wadliwej broni.

Kiedy Brytyjczycy wyładowali, argentyńskie oddziały, z powodu trzech tygodni bezsennych nocy, podczas których nasłuchiwało bombardowań z morza i powleczano, kierowanych na ich pozycje, straciły już energię i morale.

W końcowej bitwie, gdy brytyjska artyleria ułożona na lądzie wystrzeliwała trzy salwy na sekundę, całe sekcje argentyńskiej obrony zostały pozabawione łączności radiowej ze swym dowództwem. Pozabawione już także amunicji, oddziały te nadaremnie oczekiwały na rozkaz wycofania się.

„Kiedy niektórzy żołnierze w nocy zostali osamotnieni, na próżno oczekiwali pomocy od swych dowódców” — powiedział Juan Carlos, który jako bezbranny sanitariusz, pod ogniem zbierał z polu bitwy rannych.

LESZEK GRACZ

jednak przynaglować ze sprawozdania wiarygodności tych zarzutów, ponieważ większość ofiar tych gwałtów ponosiła na kuracji psychiatrycznej.

Nadejście żołnierzy brytyjskich przyjmowało więc w większości przypadków z ulgą. Ale dla Fabiana E. ich przybycie było bardzo bolesne. Po nocy spędzonej w swym wykopie, gdy zabrał mu amunicję, podał on się tylko po to, aby móc pracować przy chowaniu członków jego dziesiątkowanej kompanii. „Dali mi kopkę i wraz z kilkoma innymi chłopakami zaczęliśmy pracę. Było to bardzo przygnębiające zajęcie. Kopaliśmy ziemię i płakaliśmy i płakaliśmy...”

Repatriacja argentyńskich jeńców wojennych na pokładzie brytyjskich okrętów, wielu z nich unosiła różnice między obiema armiami. „Mając o tym, jaka była organizacja, koordynacja i szacunek wśród Anglików na pokładzie „Canberra” zacząłem się zastanawiać: w czym tkwi zło u nas, Argentyńczyków? I nie mogłem znaleźć na to odpowiedzi. Musiałbym spędzić dłuższy czas na tym okręcie, aby sobie to wyjaśnić” powiedział Guillermo.

Zaden z żołnierzy, którzy byli indagowani przez Kona, nie kwestionował prawa Argentyny do suwerenności na Falklandach (Malwinach). Wszyscy oni jednak wyrazili ubolewanie, że próby rozwiązania tego sporu drogą dyplomatyczną, zawiody Ariel, który odłąk przebywał w okopach i pełnił 24-godzinną wartę w siedzibie władz w Port Stanley, cierpi na chroniczne bóle reumatyczne, mówi: „Czasami myślę sobie, że gdyby przywódcy obu krajów znaleźli się razem, jednocześnie, w moim okopie, wojna skończyłaby się natychmiast. Nie chęliby oni pozostać tam ani minutę dłużej!”

JANE KLIMA

Autorka książki mówi, że wśród wypowiedzi, które zebrał, liczne były oskarżenia Gurkhów o dokonywanie gwałtów. Postanowił on